

268

ZYGMUNT GREŃ

PIRANDELLO JAK ŻYWY

Uwodziciele i chuligani mają pewien sposób na kobiety. Idzie młoda, ładna matka z dzieckiem w wózku. Zbliża się taki cham albo donżuan i mówi z czarującym uśmiechem: jakie śliczne dziecko... Matka rozumie, że to dla niej komplement i odpowiada uśmiechem kokieteryjnym. Donżuanowi to wystarcza, ale ten drugi dopiero wtedy kończy rozpoczęte zdanie: „...zupełnie jak żywe. Kobieta opuszcza kokieteryjną, rodzi się instynkt; krzyczy na chuligana albo rzuca się do wózeczka, aby popieścić i obudzić swoje malenstwo. Dotychczas wszystko jest płaskie i wulgarnie; zabawa, lekko przewrotna, zaczęłaby się wtedy, gdyby — w karze za kokieteryjną — dziecko obudzić się nie udało.

Myślę, że sprawę postawiłem dość jasno, aby bez zbędnych metafor, opisów i wielorakich zastrzeżeń mówić o Pirandello jako autorze dramatycznym; przede wszystkim autorze sztuki „Jaką mnie pragniesz”, wystawionej w Starym Teatrze przez Aleksandrę Mianowską, w dekoracjach Andrzeja Majewskiego; przekładu najbardziej przychylnego autorowi dokonała wierna jego wielbicielka i propagatorka, Zofia Jachimecka.

Pirandello zniknął z naszego powojennego teatru bez procesu. Dwie premiery „Henryka IV” przygotowane przez Perza w Poznaniu i w Warszawie minęły bez echa. Nikt się nie oburzył, nikogo nie zafascynowały, ale nikt też nie zapytał, czy ten autor mógłby jeszcze dziś kogokolwiek fascynować. Perz stwierdził, że dziecko cudowne, publiczność zachowała kokieteryjną powściągliwość. Ale to dziecko było rzeczywiste tylko jak żywe. Zabawa okazała się dość makabryczna.

A przecież ten laureat Nobla był kiedyś jednym z najgłośniejszych i najpopularniejszych dramatopisarzy. A przecież jeszcze po wojnie pisał o nim Sartre jako o najwybitniejszym prekursorze dramatu egzystencjalistycznego; przypuszczałam, że jedną z przyczyn niepowodzenia mogła być nieświadomość tej nobilitacji wśród naszej snobizującej publiczki. A może była jednak i świadomość, i intuicja? Że żadne próby, podejmowane od Sartre'a przez Jachimecką do Perza, nie potrafią przywrócić realności, autentyczności temu, co jest już tylko jak żywe.

Nie miejsce tu na przeprowadzenie kompletnej rozprawy z autorem. Jedno jest pewne, że jego blask zgasł, był bowiem blaskiem zapożyczonym, odbitym. W sposób trochę dwuznaczny odbijał niepokoje filozoficzne swoich czasów; to ostrzeżenie dla współczesnych autorów. Sam nie miał wiele do powiedzenia. Ze osobowość człowieka jest zagadnieniem względnym i czy ist-

nieje w ogóle jako zjawisko? — było to właśnie po Einsteinie. Ze człowiek jest skazany na intuicyjne poznawanie drugiego człowieka i świata — było to po Bergsonie. Ze postępowanie determinują kompleksy — to po Freudzie, albo że jesteśmy beznadziejnie uwikłani swoimi finansami w nieustający dramat społeczny — to po Sorelu. Albo że pod maską historii kryje się dramat egzystencji — to Jaspers; a zmierzch kultury zachodniej, jaki przeżywamy, powoduje gwałtowny wybuch wszystkich nagromadzonych dotąd konfliktów, kompleksów, urazów, potężną kakofonię dramatów istnienia — to oczywiście Spengler. Pirandello wszystkich ich przetrwał na papkę, nadzwyczaj zresztą strawną teatralnie. Oprócz tych filozofijek znalazło się tam wiele miejsca dla postaci scenicznych preparowanych niepokojąco dla widza i atrakcyjnie dla aktora; znalazło się więc sporo ostrych i pikantnych przypraw mile lechących wyschłe i jałowe podniebienia. Mnie się jednak zdaje, że teatr współczesny, dzisiejszy, chętnie korzystając z nowych przypraw nie może już znieść samej papki, a od pisarza wymaga własnego sądu, własnego dramatu. Chociaż, z innej strony patrząc, trzeba przyznać, że Broszkiewicz, jedyny u nas niemal autor ostatnich sezonów, posiada wcale nie najskromniejszych poprzedników.

Czy na tym właśnie polega pirandellizm? Pirandellizm, czyli sprzeżenie przez pośredników. Czyli niemoc dramatu, który zamiast mówić o współczesności i do współczesności staje się tylko jej osiągnięty intelektualnych pasożytem.

„Jaką mnie pragniesz” to historia kobiety, którą losy wojny (pierwszej światowej) oddzieliły od męża; arystokratka — w Paryżu znalazła nowe życie tancerki kabaretowej i kokoty. Ale wszędzie mąż jej szuka i odnajduje. Ona wraca i stara się przekreślić swoje dotychczasowe dwa życia — a może trzy, w czasie wojny została jeszcze zgwałcona przez szwadron ułanów, to się jeszcze nie liczy do jej późniejszej paryskiej egzystencji — stara się więc przekreślić swój los i oddać w ręce męża na powrót czystą; stwórz mnie taką, jaką mnie pragniesz. Okazuje się jednak, że powrót żony potrzebny był mu tylko dla jakichś machinacji spadkowych. A zresztą w ogóle nie wiadomo, czy to jest jego żona; w szpitalu dla obłąkanych żyje kobieta, która także mogłaby nią być. Ot, i cały Pirandello. Niepewność i zagadka istnienia.

Z tego reżyser krakowski przedstawił zorganizował na scenie ponury dramat obyczajowy, który chwilami — na przykład w drugim akcie — miał sięgać szczytów balzakowskiej drapieżności; tak skomplikowane i absolutnie niezrozumiałe były kombinacje finansowo-psychologiczno-moralne, których musieliśmy wysłuchiwać, nie mając nawet tej satysfakcji, że jesteśmy na prawdziwej giełdzie, gdzie grają namiętności, albo w prawdziwym teatrze, gdzie grać muszą niekoniecznie namiętności. W tym akcie nawet aktorów nie było.

Pirandello wymaga ponadto niemałej, 17-osobowej obsady. Wyróżnili się w niej Wojciech Ruszkowski i Kazimierz Witkiewicz, pierwszy stwarzając ostro charakterystyczną lecz kulturalną sylwetkę adwokata, drugi — postać męża zagrana na szczęście z umiarkowanym „niepokojem”. Gdyby to była sztuka poetycka, można by dodać jeszcze, że aktorzy ci płynnie i zrozumiale mówili tekst.

Alicja Kamińska z wdziękiem, dwuznacznym temperamentem i dojrzałością zagrała rolę lesbijskiej amantki. Zofia Niwińska była bohaterką tytułową, kobietą-sfinxem. Trzeba powiedzieć, że ta rola mieściła się w aktorce znakomicie. Środki proste, szalenie zreżymie prowadzony dialog — a na tym przecież rzecz głównie polega — sprawiły, że postać ta nie okazała się płaska i pusta jak wiele innych. W końcu sztuka powstała właśnie dla tej jednej postaci. Aby umożliwić aktorce pokazanie wszystkich uczuć i całej zręczności — z wnętrzem i bez. Zofia Niwińska zagrała swój koncert z dużą wirtuozerią.

Ale gdzież to zawędrowaliśmy na koncert? Do teatru współczesnego? Czy nie trzeba było wstąpić raczej do filharmonii?

ZYGMUNT GREŃ